

Wawrzyniec Żuławski

WĘDRÓWKI ALPEJSKIE

Sklep Podróżnika
Warszawa 2012

BURZA NA MONT BLANC

Uratauje je natomiast skromna, niepozorna lina z konop:
Zreszta noga nie ześlizgnęła mi się wcale. To Jurek Golcz
jakoś podejrzanie głęboko zapadł się w miękki śnieg, gdy do
chodziliśmy do stoków Col de la Fourche. Szczelina! - okrą-

Blanc. Szczyty ^z ^z pióropuszcami śnieżnego pyłu
- "Nie idziemy jutro. Oszalelibyśmy chyba" - mruczę sa
do siebie, oskaniając rękami głowę przed atakiem wichru. Po
już wprost jakiś kataklizm powietrzny zrywa nam śnieg spod
nóg i ciska w twarze. - "Cudowna rzecz schronisko - tutaj,
w taką pogodę" - myślę dalej, stukając czekanem w zasuwkę
zamkniętych na głucho drzwi. Zadyszany od wiatru, skostniał
odrabuję raki przymarznione do butów.

Następnego dnia poszliśmy mimo wszystko. Wiatr trochę
osłabł - mroz dręczył nas dalej, ale to może lepiej: śnieg
będzie zapewne mniej podatny do tworzenia lawin. Niebo było
czyste, tylko parę chmurków włożyło się nad dolinami. A zre-
tą - to przecież ostatnia szansa przejścia Sentinelle! Jeśli
nie dziś - będziemy musieli wyrzec się jej zupełnie.

Wzrok ślizga się automatycznie po białej, niezapisanej
kartce czerwono oprawnego zeszytiku. Myśl biegnie dalej i w
pełnia tę lukę. Biegnie po lśniących lodem zerwach wschodni
ściany Mont Blanc. Po żłebach huczących lawinami. Po barie-
rach seraków, przez które monotonnie przesypują się kaskady
śnieżnego pyłu.

Zatrzymuje się pod obeliskiem "Czerwonego Wątownika".
Odpoczywamy tam za skalnym załomem. Miejsce jest zakryte od
wiatru i robi się prawie ciepło, choć słońce grzeje anemicz

Iznowu Alpy. Zaledwie wczoraj deptaliśmy po rozpalonych
brukach Wiednia, a kilka godzin temu włóczyliśmy się gondolą
po precudnych zaułkach Wenecji! Jeszcze nie zdołaliśmy się
otrząsnąć z widoku na Adriatyk, jeszcze czujemy na sobie powiew
renesansu od placu św. Marka, a już pociąg w błyskawicznym
tempie unosi nas w stronę gór. Drzemiąc w kącie przedziału próbuję
uporządkować nieco wrażenia ubiegłych dni.

Rok minął od czasu, kiedy pełen wzruszenia i niepewności
rozpoczywałem swoją pierwszą wędrówkę w Alpy. Od tego czasu
świat alpejski stał mi się znany i bliski, choć znałem go jeszcze
tak niewiele. Świat ten miałem teraz zobaczyć znowu. Jechaliśmy
w samo jego serce: pod stopy śnieżnego wierzchołka Mont Blanc,
najwyższego szczytu Europy.

Także ludzie, z którymi miałem przeżywać nowe alpejskie
przygody, nie byli ci sami. Karpiński został w kraju. Niezależnie
od nas wszystkich okoliczności nie pozwoliły mi złączyć się
z Korosadowiczem i Staszem w zespół wypróbowany na ścianach
Wiesbachhornu i Glockerinu. Partnerem moim był obecnie
doktor Tadeusz Bernadzikiewicz, a w łatwiejszych wspinaczkach
towarzyszyć nam miała Zofia Wysocka-Bernadzikiewiczowa. We
trójkę jechaliśmy właśnie poprzez równiny Lombardii. Reszta
kolegów, to jest doktor Zofia Radwańska, Wiktor Ostrowski (jeden
z polskich zdobywców Aconcagua, wysokość 6955 m, najwyższego
szczytu Ameryki), Tadeusz Pawłowski, Stanisław Groński, Zbigniew
Korosadowicz i Jan Staszel mieli przyjechać później.

Za oknami pociągu robi się już dzień. Okolica jest na razie płaska
i monotonna, toteż w sennym nastroju oczekujemy pierwszych
znaków zbliżania się gór. Za którąś tam stacją teren zaczyna być coraz
bardziej falisty, aż wreszcie, niemal bez wstępów, pociąg wjeżdża
w środek rozległej, zielonej doliny. Po obu jej stronach spadiste
zbocza pokryte są tarasami winnic. Otaczające nas wzgórza to
na razie niezbyt strome grzbiety, usiane tu i ówdzie wapiennymi



BURZA NA MONT BLANC

skalkami. Ale już koło Aosty widać z daleka lodowce połyskujące bielą. Pociąg coraz częściej wpada w mroczne tunele, to znów przebiega z hukiem żelazne mostki nad potokami, w których rozbryzguje się o głązy turkusowa woda.

Jakżeż dziwne się wydaje odnajdywanie w krajobrazie szczytów i przełęczy, których nazwy zna się od lat z literatury alpejskiej i których wzajemny układ studiowało się z mapą w rękę na miesiąc przed wyjazdem! Wszystkie są rozmieszczone tak, jak być powinny, i to proste odkrycie cieszy nas niesłychanie. W krótkich przerwach pomiędzy jednym tunelem a drugim wykrzykujemy nazwy do niedawna oderwane od rzeczywistości: Mont Blanc de Courmayeur! Jorasses! Dent du Géant! Bionnassay!

W miasteczku Pré St. Didier przesiadamy się na autobus, który po chwili wspina się ciężko wraz z nami poprzez stromy próg doliny do Courmayeur — celu naszej podróży.

Courmayeur to jakby włoskie Zakopane, tyle że o wiele, wiele mniejsze i musimy stwierdzić z przykrością, znacznie porządniejsze i czystsze. Uliczki śmiesznie wąskie, ale przeważnie asfaltowane, eleganckie hotele, kilkanaście sklepów, murowane domki rozrzucone po obszernym piętrze doliny. Nad wszystkim góruje majestatyczny, iskrzący w słońcu lodowcami łańcuch Mont Blanc, niby prostopadły mur, którego krańce wznoszą się przeszło 3500 metrów ponad Courmayeur. Góry przykuwają uwagę przybysza, a gdy w nocy oświetla je pełnia księżyca, trudno od nich oderwać oczy.

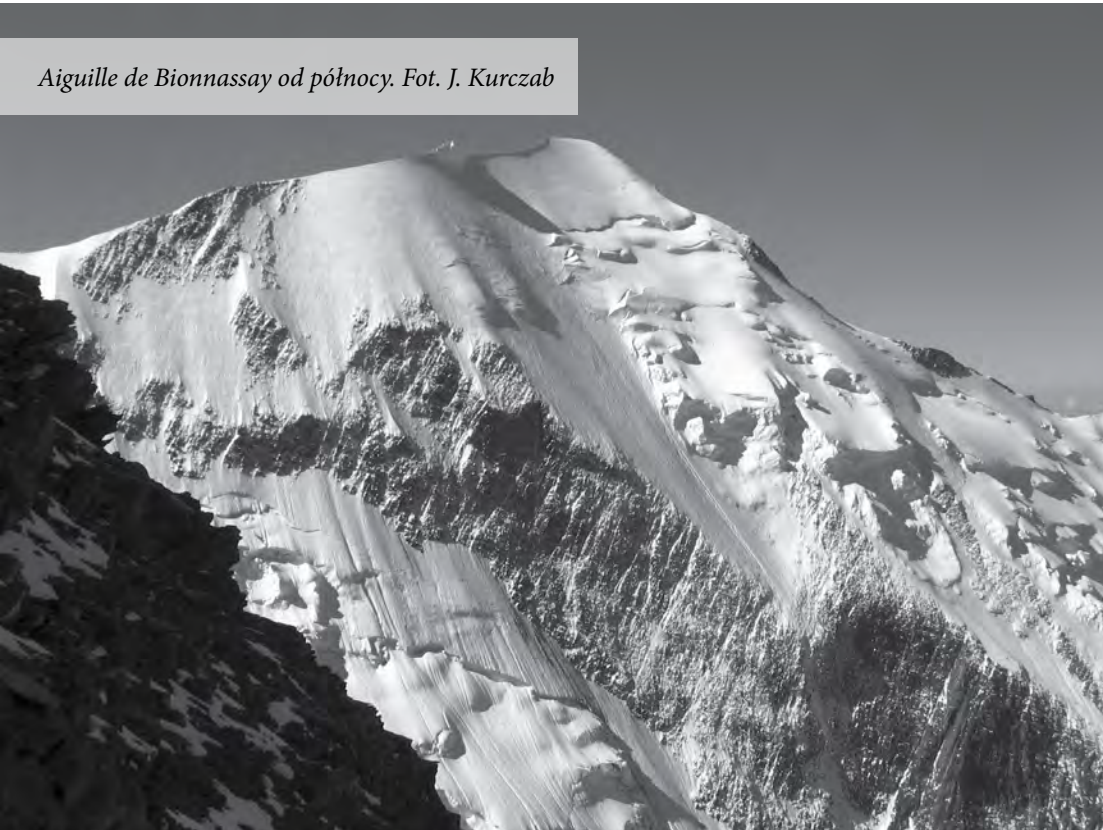
Następnego dnia zwiedzamy sklepy, zaopatrujemy się w żywność, najnowsze przewodniki i mapy, a wreszcie pakujemy worki i pod wieczór 24 lipca 1937 roku opuszczamy Courmayeur. Zamiarem naszym było dojście do małego jeziora — Lago di Miage, leżącego u południowych stoków masywu Mont Blanc. Tam mieliśmy rozbić obóz, stamtąd wyruszać na pierwsze górskie wspinaczki i przebyć

WĘDRÓWKI ALPEJSKIE

trening tak bardzo potrzebny po całorocznym miejskim trybie życia.

Nie umiałbym dziś doprawdy wyjaśnić, jak to się stało, że przeoczyliśmy wyraźną drogę prowadzącą w stronę Lago di Miage i że omyłkę spostrzegliśmy dopiero w Entreves, małej wiosce położonej u zbiegu dwóch głównych dolin, rozciągających się wzdłuż południowych zboczy łańcucha górskiego Mont Blanc: Val Vény i Val Ferret. Co gorzej, zamiast wrócić po prostu do rozstaju, postanowiliśmy przeciąć czoło lodowca Brenva wprost w kierunku widocznego z daleka białego kościółka znajdującego się już na właściwym szlaku.

Aiguille de Bionnassay od północy. Fot. J. Kurczab



BURZA NA MONT BLANC

Skutki tej lekkomyślnej decyzji były wcale nie zabawne. O zmroku brodzimy przez rwący lodowcowy potok, skaczemy po wystających z wody głazach, przerzucając sobie z rąk do rąk nasze bagaże. Wśród ciemności i pierwszych kropel deszczu wstępujemy na obrzydliwie ruchome piarżysko, które pokrywa dolne partie lodowca. Minuty i kwadransy upływają na błędzeniu po ciemku wśród usuwających się spod nóg głazów, na potknięciach i upadkach. Deszcz zmienia się w gwałtowną ulewę, grzmoty huczą po dolinie. Przemoknięci, znajdujemy w końcu jakieś takie schronienie pod wielkim głazem. Ponieważ nie ma miejsca na ustawienie namiotu, więc układamy się do snu możliwie najwygodniej tam, gdzie jesteśmy.

Niestety, sen nasz nie był bynajmniej spokojny. Wielkie głazy, leżące luźno na posuwającym się bądź co bądź cielsku lodowca, teraz, w czasie burzy, zdradzały niebywałą ruchliwość. Dość powiedzieć, że przy każdym grzmocie kamień, tworzący naszą przygodną sypialnię, poruszał się z lekka, jakby ostrzegając, że bezpieczniej się spod niego wynieść.

Na szczęście sytuacja wyjaśniła się sama. Deszcz przestał padać, chmury rozsunały się nieco, a światła kaplicy Notre Dame zajaśniały w odległości nie większej niż dwieście kroków. Pakujemy manatki, przekraczamy głęboki parów i po kilku minutach wydostajemy się na wcale szeroką drogę. Tutaj znalazło się już dość miejsca na rozbicie namiotu.

Rezultat naszych nocnych perypetii był dość nieoczekiwany. Zbudziły mnie rano jakieś ożywione głosy i dźwięk klaksonu samochodowego. Otworzywszy oczy ujrzałem nad sobą łeb osiołka i stojącego przy nim woźnicę. Parę kroków dalej niecierpliwił się kierowca samochodu. Okazało się, że leżymy na samym środku jezdnej drogi, i to dosyć uczęszczanej. W nocy, gdyśmy uciekli spod grożącego zawaleniem się głazu, nie zastanowiliśmy się po prostu nad tym, że nasz biwak może spowodować aż takie zaburzenia w komunikacji.

WĘDRÓWKI ALPEJSKIE

Zawstydzony wyskoczyłem ze śpiwora i pomogłem Bernadzikiewiczom usunąć szybko namiot, pracowicie rozpięty na linkach i kołkach, a przez ten czas na drodze gromadził się coraz większy tłum pojazdów różnego rodzaju.

W pięknym słońcu ruszyliśmy dalej. Droga wiodła teraz nad potokiem, wśród coraz to odsłaniających się widoków na granie Mont Blanc, aż przyćmiły je czarne krzesanice Aiguille Noire de Peuterey.

Za oberżą górską Visaille krajobraz zmienił się całkowicie. Odtąd szliśmy wąską doliną porośniętą bujną roślinnością. Dnem parowu płynął potok turkusowej barwy, skacząc po głazach, wałąc się z hukiem w pienistych siklawach, by za chwilę przycziąć się w niebieskozielonych, spokojnych stawkach. Tak szło się godzina za godziną, a świat był w słońcu i tak piękny, że nawet wory na plecach wydawały się nie tak ciężkie.

Ustronna łączka nad Lago di Miage zachęca do rozbicia namiotów. Tu właśnie stanie nasz obóz. Pierwsze krople deszczu spadły na ziemię, jeszcze wygrzaną słońcem, gdy — szczęśliwi, że mamy dach nad głową — wleźliśmy do naszych płóciennych domków. Leżąc w śpiworach, gotujemy wyśmienity obiad, palimy papierosy, piszemy listy, gawędzimy, nie troszcząc się zbytnio, że gdzieś w naszych namiotach zaczynają się robić spore zacieki.

Jeśli nawet któremuś z nas sytuacja taka niezupełnie dogadzała, to wynagrodził ją sownie dzień następny. Słońce wypędziło nas wcześniej z namiotów. Było zbyt gorąco, żeby spać. I wtedy dopiero mogliśmy się lepiej rozejrzeć wokoło i dostrzec cuda, które nas otaczały. Łączka przed obozem była istnym zielnikiem bogatej, alpejskiej przyrody. W dole, wśród modrzewi, połyskiwało jeziorko ukryte w bocznej morenie lodowca Miage. Wody jeziorka miały barwę mleka. Lodowiec urywał się nad nim niebieskawozieloną, iskrzącą się w słońcu ścianą, od której raz po raz odrywały się

BURZA NAD MONT BLANC

spore bryły i pływały po wodzie niby miniaturowe góry lodowe. Z drugiej strony — umajony roślinnością próg moreny odgradzał nas i jeziorko od reszty świata. W nocy, gdy z uchylonego wejścia namiotu patrzyło się na płynące w blasku księżycy chmury, jeziorko, drzewa, otaczające szczyty — wszystko wirowało dokoła niby na jakiejś gigantycznej, czarodziejskiej karuzeli.

Księżyc w pełni świecił, gdy po jednodniowym odpoczynku opuszczaliśmy obóz. Oświetlał naszą mozolną wędrówkę wśród piargów, które zasypały dolne partie lodowca Miage. Blady był i nikły, gdy wkraczaliśmy wyżej na śniegi. Pomędzy szczelinami w pobliżu dolnych zerw lodowca Bionnassay zastał nas już dzień.

Wymarsz rozpoczął się niepomyślnie: w obozie eksplodował nam prymus, szliśmy więc dosłownie o chlebie i wodzie, a co gorsze, byliśmy skazani na obywatanie się bez gorącego pokarmu



Na grani Bionnassay. Arch. J. Kurczab

przez najbliższe dni. Nadzieja, że w leżących na trasie schroniskach zastaniemy choć trochę opału, miała, niestety, najzupełniej zawieść.

Minęliśmy już seraki lodowca. Rozpoczynamy teraz długą i uciążliwą wspinaczkę poprzez dość łatwe, ale kruche skałki. W południe wypadło nam grzebać się po kolana w mokrym, rozmiękłym od słońca śniegu. Wreszcie, klucząc wśród szczelin, złani potem, wyczerpani tropikalnym wprost żarem słońca, wychodzimy na przełęcz.

Tuż pod przełęczą, po stronie zwróconej ku Francji, znajdujemy malutkie nie zagospodarowane schronisko. Refuge Durier — po prostu niewielka budka z drzewa, obita blachą, ustawiona na miniaturowej platformie skalnej, przylepiona do przepaścistego zbocza, na poły zagrzebana w śniegach. Wewnątrz jest cień, zacisznie i dziwnie przytulnie. Tutaj zostaniemy do wieczora, a przed świtem pójdziemy dalej. Następnym etapem naszej drogi — schronisko Vallot pod szczytem Mont Blanc — jest oddalone od nas o cały dzień wytężonego marszu.

Jak bardzo różni się schronisko Durier od tych, które widziałem w Alpach Austriackich! Tam komfort, wygoda i prawie luksus, tu prostota, prymityw i atmosfera przygody. Tak odmienne jest to schronisko, jak odmienny jest masyw Mont Blanc od Wysokich Taurów. Ani śladu szerokich ścieżek, gęsto usianych kłamrami i łańcuchami, zabezpieczającymi turystę przed upadkiem. Tu ścieżki są przeważnie tylko tam, gdzie je ludzie sami wydeptali. W części masywu, która należy do Włoch, największe schronisko „Torino” pod Przełęczą Giganta jest cztery razy mniejsze niż „Murowaniec” na tatrzańskiej Hali Gąsienicowej. Poza tym tylko trzy lub cztery schroniska są w ogóle zamieszkane i zagospodarowane, i to tylko przez lato. Inne są takie jak to, w którym obecnie zatrzymaliśmy

się: jedna mała izdebka, kilka pryczy, koce, i to wszystko⁵. Czasem jeszcze miotła, parę garnków, dwie, trzy książki dla tych, którzy tu będą musieli przetrwać kilkudniową nie pogodę, i czasem (ale rzadko niestety!) prymus z zapasem nafty. Są także jeszcze inne schroniska: śmieszne „bivacco”, kształtem przypominające przewróconą beczkę, w której mogą się zmieścić dwie lub trzy osoby, ale tylko w pozycji leżącej albo siedzącej. Szlaki przez lodowce nie są oznaczone tyczkami, tak jak w okolicy Grossglockneru. Szlaki te istnieją wtedy, gdy je alpinista własnymi nogami wydepce. Kiedy spadnie świeży śnieg, ginie wszelki ślad ludzki i Alpy wyglądają tak, jak w dniu, w którym powstały przed wiekami.

Dobrze przed świtem opuszczamy schronisko. Łatwą, śnieżną granią posuwamy się dłuższy czas w górę, a potem stajemy pod skalistym uskokiem Aiguille de Bionnassay (4052 m). Pokonanie tych 200 czy 250 metrów pochłonęło nam kilka godzin solidnej, skalnej roboty. Trudność, przepaścistość, a zwłaszcza kruchość ściany wymagały szczególnej ostrożności.

Minęło już południe, gdy otwarła się przed nami wąska grań wierzchołka Bionnassay. W godzinę później staliśmy już na szczycie.

Powiał nas porywisty wicher, uderzył w twarz tumanem śniegu i ostrych odłamków lodu. Ryczał wściekle, przewalał się ze strony francuskiej na włoską, a pod jego bezustannym naporem grań dymiła jak od pożaru.

Przed nami ciągnął się kilkusetmetrowy „koń śnieżny”, jak ostrze szabli ze śniegu i lodu przecinał przestrzeń skłębioną wichrem i niknął gdzieś koło przełęcz. Pamiętam mozolną wędrówkę po nim okrakiem. Rozpaczliwie długie minuty oczekiwania, aż

⁵ Schronisko Torino, położone na wys. 3371 m, jest dostępne kolejkami zarówno od strony włoskiej (kolejką linową z La Palud), jak i francuskiej (kolejką gondolową z Aiguille du Midi). W 1952 r. wybudowano nowe schronisko, znacznie większe od starego, usytuowane 50 metrów wyżej. Ostatnio nowe schronisko przeszło kolejny remont związany z modernizacją kolejki linowej z La Palud na pobliski Pointe Helbronner (3462 m) (przyj. red.).

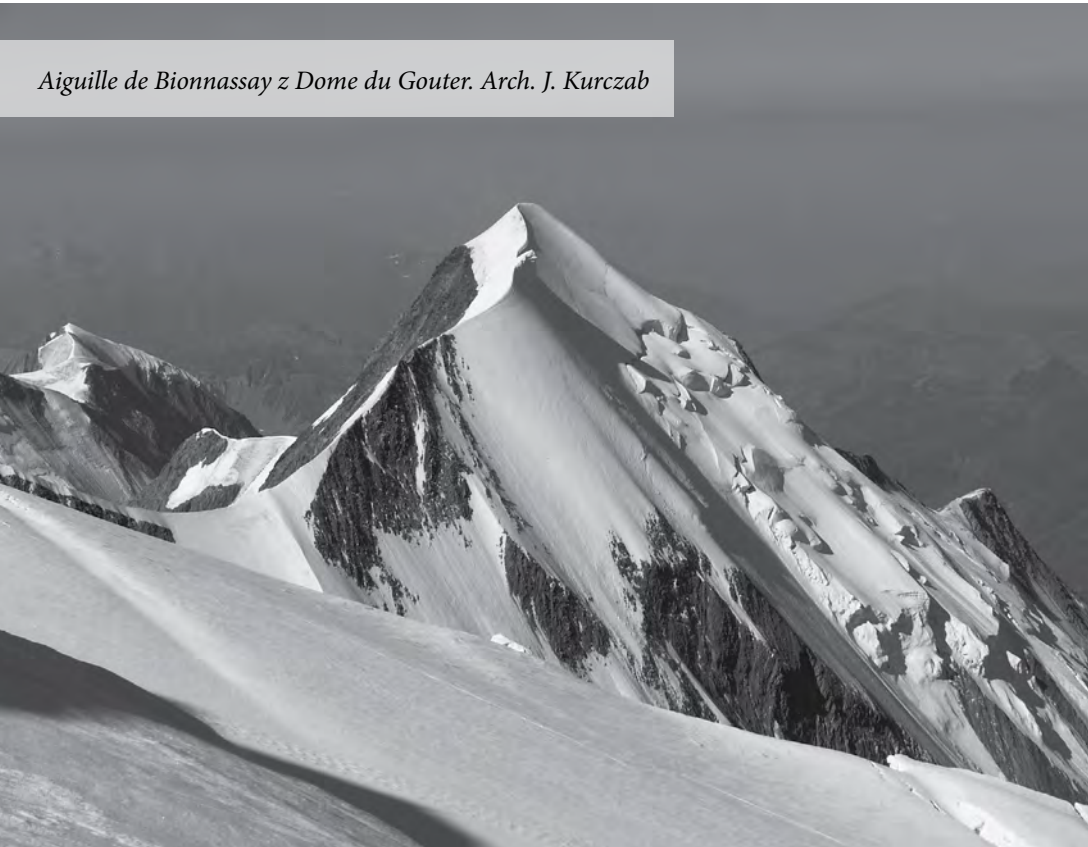
WĘDRÓWKI ALPEJSKIE

towarzysze przejdą kolejno swoje odcinki drogi. Wiatr, który oszalał i zamieniał twarz w bryłę lodu. I pamiętam nawis, który runął w dół pod ciężarem mojej nieopatrznie postawionej stopy...

Zapadał mrok, gdy minąłem przełęcz i, rąbiąc stopnie w ścianie stromego lodu, stanąłem na wyraźnym szlaku prowadzącym z lodowca del Dôme granią na Mont Blanc. Szliśmy nim w górę, przebijając się z trudem poprzez wichry.

Goniliśmy już resztkami sił, wyczerpani długą drogą i brakiem ciepłego pokarmu od dwóch prawie dni. Wiatr o huraganowej wprost sile zatykał nas i dusił — z trudem chwytałyśmy oddech. Na wielkiej platformie pod śnieżną kopułą Dôme du Goûter rozstawiliśmy naszą płachtę biwakową, nadając jej kształt namiociku. W zimnie i szalejącym wichrze, na wysokości 4250 metrów nad poziomem morza leżeliśmy w naszym schronieniu,

Aiguille de Bionnassay z Dome du Gouter. Arch. J. Kurczab



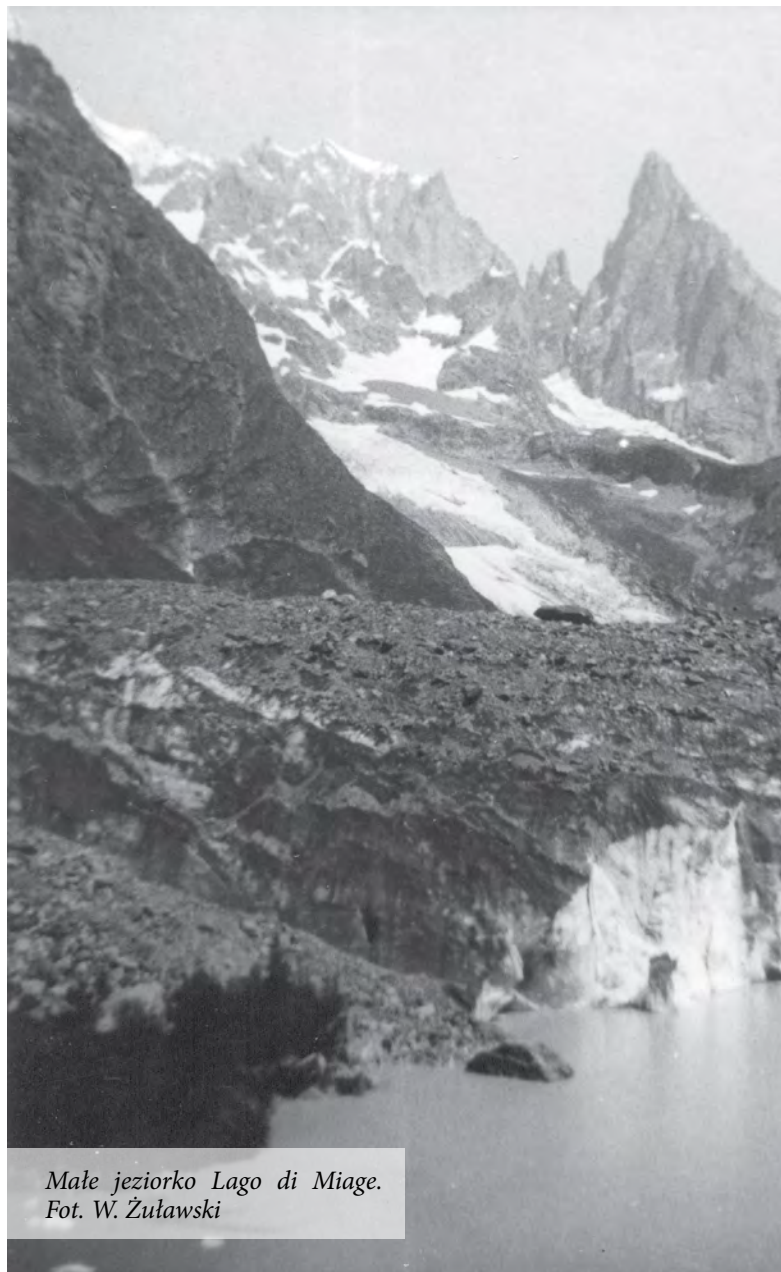
BURZA NAD MONT BLANC

łapiąc powietrze w zdyszane, rozdęte wiatrem płuca i zapadając od czasu do czasu w niespokojną drzemkę, wśród marzeń o gorącej herbacie.

Następnego dnia przed południem dotarliśmy do schroniska Vallot. Położone 500 metrów poniżej wierzchołka Mont Blanc, sławne z tyłu powieści i filmów alpejskich, było bodaj jeszcze bardziej prymitywne niż schronisko Durier. Wymarzonego przez nas pieca lub prymusa ani śladu. Nasz prowiant, obliczony początkowo na dwa dni, był już prawie zupełnie wyczerpany. Na domiar złego, pogoda, dotąd burzliwa, ale słoneczna, zaczęła się psuć gwałtownie. Wichry się wzmacniały, ciężkie mgły otuliły góry, zaczął padać śnieg. Partia alpinistów francuskich, uciekających ze szczytu Mont Blanc w dół, do Chamonix, zostawiła nam resztę swego prowiantu. Nie było tego wiele: puszka konserw, trochę chleba i ćwierć butelki wina.

Z kamieni zbudowaliśmy wewnątrz izby prymitywny piecyk, kilka znalezionych mokrych desek dostarczyło nam opału i tak zostaliśmy sami w schronisku Vallot, by przetrwać burzę na Mont Blanc.

Leżeliśmy na pryczach w maleńkiej izdebce, której podłogę zalegały zwały nigdy nie topniejącego śniegu, wtuleni w swetry i brudne koce. Senni i odrętwiali, wsłuchiwałam się w wycie wiatru, który wdmuchiwał śnieg przez szpary jedynego okna i trząsł całą chałupką, jakby ją chciał strącić w przepaść. Dwa razy na dzień zwlekaliśmy się z posłania, by wśród gryzącego swędu mokrych szczap drzewa, na ognisku, z poświęceniem przez nas kolejno rozdmuchiwanym, ugotować trochę obrzydliwej, zadymionej herbaty ze śniegu. Śnieg trzeba było przynieść z zewnątrz — ten w izbie nawet na nasze skromne wymagania był za brudny. Wyjść ze schroniska — była to sztuka nie lada. Napór wiatru na drzwi był tak silny, że aby je otworzyć, trzeba było raz po raz uderzać w nie ciałem jak taranem. Wreszcie drzwi z łomotem otwierały się,



*Małe jeziorko Lago di Miage.
Fot. W. Żuławski*

waląc z trzaskiem o zewnętrzną ścianę chałupy, a izbę obejmowała w posiadanie skłębiona zadymka. Przejście kilkudziesięciu kroków do zamkniętego na głucho obserwatorium było całą wyprawą. Gdy raz poszedłem w tę stronę w nadziei, że znajdę jakąś deskę na opał, musiałem się uwiązać na linie z obawy, że nie trafię z powrotem do schroniska. Chałupka trzęsa się i jęczała we wszystkich wiązaniach, zatracając w odmętach kurniawy.

30 lipca pod wieczór na krótko się rozjaśniło. Jeden szybki wypad z Tadeuszem Bernadzikiewiczem pomiędzy szóstą a ósmą wieczór — i we mgle i wicherze stanęliśmy po raz pierwszy na wierzchołku Mont Blanc. Po powrocie do schroniska należało tylko czekać na chwilę ponownego roz pogodzenia i uciekać w dół.

Chwili takiej nie doczekaliśmy się właściwie wcale. Przeciwnie, nazajutrz pogoda raczej się pogorszyła. Mimo to, zjadłszy ostatnie okruchy prowiantu, w południe 31 lipca ruszyliśmy w drogę powrotną. Zazwyczaj łatwe zejście przedstawiało teraz poważne trudności. Szlaki zasypał głęboki, świeży śnieg. Mgła była tak gęsta, że mogliśmy się kręcić w kółko i błędzić nie wiadomo jak długo. Instynktownie jednak trafialiśmy na właściwą drogę. Tak szliśmy godzinę lub dwie, aż nagle, niby za czarodziejskim zaklęciem, mgły ustąpiły, wiatr ucichł i ujrzeliśmy słońce nad wybielonymi śnieżnym puchem wierzchołkami. Trochę niżej natknęliśmy się na szlak przetarty przez alpinistów, którzy w czasie niepogody próbowali wejść na Mont Blanc, by prędzej lub później zawrócić. Jeszcze godzina i wstąpiliśmy w szczeliny lodowca del Dôme, a w dole było schronisko, ludzie, odpoczynek i posiłek. Pierwszy normalny posiłek po pięciu dniach głodowania.